

# ZBIERACZ

## LITERACKI I POLITYCZNY.

BABA KOŚCIELNA.

(Dokończenie.)

II.

Wiatr wyl okropnie! dzwony dzwoniły i zdawało się, że nie ręka ludzka, ale ręka burzy niemi włada. — Kondukt pogrzebowy szedł ulicą — śpiewali księża, grała muzyka — ale wiatr pogasił wszystkie światła, ciemno było i straszno — dziewczyna szła za trumną i rzewnie płakała, wręku trzymała zgasłą od wiatru świecę i chustkę mokrą od łez i deszczu — Ona nie miała siły spojrzeć na trumnę — szła tylko, niepatrzac przed siebie — jak gdyby ją jaki instynkt prowadził, szła aż do kościoła, tam stanęła i znów płakała, a wszyscy patrzali na nią — i nikt cieszyć nie myślał — Jak Rsięża skończyli śpiewanie, wszyscy wyszli, ona stała — dziad ją za drzwi kościelne wyprowadził, zatrzasnął ry-

gle i poszedł mruczac *Wieczne odpocznienie*. — Wiatr wyl, deszcz lał, ona stała jak wryta i płakała, oparłszy głowę o mur kościelny, ale nikt jęków nie słuchał, nikt na lzy nie patrzył, bo była noc — noc głucha — a na emętarczu po nocy nikt nie chodzi chyba duch. — Marysia płakała długo i siadła płakać na kamienu, i zasnęła biedna. — Obudziła się rano, żeby spojrzeć jak trumnę wynoszą, znowu pobiegła za trumną na emętarcz — pobiegła nad jamę, spojrzała w nią — a ten dół przez lzy błyszczące w oku, wydał ję się tak okropny! — Usłyszała szmér sunacęj się po powrozech trunny — chciała się rzucić za nią, ludzie wstrzymali, potém sypała się ziemia — ona słyszała, ujrzała nad nim mogiłę z świeżego piasku, w głowie ję przewróciło się, zaczęła śpiewać i tańcować na jego grobie! Ludzie poszli ru-

szając ramionami — Marysia została na grobie, i tańcowała jak młoda topol wiatrem uginana, śpiewała wesoło, śmiała się okropnie, a jak zmrok przyszedł położyła się obok mogiły, mówiąc sama do siebie — Antos przyjdzie niedługo, i usnęła. — W północ obudziła się — koło jej głowy stała latarka — koło niej obok leżał trup kochanka — dalej stało dwóch jakichś ludzi, a trzeci równał mogiłę łopatą, mówiąc: — E! Panie Doktorze! ani znaku nie będzie! — ona rzuciła się na zimne ciało Antosia i krzyknęła — doktorowie poskoczyli ku niej, grabarz cofnął się, jak by kto strzelił do niego. — Kto to? — Kto? — W Imię Ojca! — A ona odezwała się — Cha! cha! to ty Panie Doktorze! przyszedłeś leczyć Antosia! o! on zdrow. — Potem ścisnęła i całowała trupa. — Doktorowie osłupieli — grabarz stał drżący — jeden szeptał drugiemu — To ta dziewczyna, pamiętasz? musiała zwaryować! Nie traćmy czasu bierzmy trupa i wnogi! no! na plecy go! — Dał znak grabarzowi — Ten się zbliżył, chciał wziąć trupa, ale dziewczyna,

nie puszczała kochanka i groziła okropnie zgrzytając zębami grabarzowi. Doktorowie stali i patrzali na to, jakby kto inny przyglądał się marjonetkom. Dziewczyna ciągnęła sobie trupa — grabarz sobie — nie było ratunku, stary uderzył ją silnie łopatą, żeby się jej pozbyć mrużąc pod nosem. — Będzie dwa! zamiast jednego! — Dziewczyna krzyknęła, boleśnie — młodszy doktor poskoczył, zgromił staroego grabarza, wziął dziewczynę gwałtem za rękę i wodząc latarką koło jej twarzy, zawołał: — Wcale niczego! gdyby nie ten szal! — I! porzucilbyś te głupstwa! przerwał drugi, blada jak upiór, chuda jak trzaska, zda się chyba na dyssekeję, lub dla sprobowania mocy sublimatu arszenikowego! — Pan Konsyliarz trzymał dziewczynę, grabarz naprzód szedł i niósł trupa, gwałtem prawie wleczone dociągnęła się do mieszkania Doktora. Trupa położyli na stole, grabarz poszedł — Doktor zamknął dziewczynę w osobnym pokoju, dał jej wina i chleba — a sam poszedł na dyssekeję. — Marysia nie jadła ani piła, chciała

iść gwałtem do stołu gdzie leżał Antos, ale drzwi były zamknięte, ryczała prawie z bóleści, a Doktor palił cygaro i machał bisturem! — Przyłożyła oko do dziurki od klucza, patrzyła i płakała, a potem padła na ziemię bez przytomności.

III.

Mróż dochodził do dwudziestu stopni, biedna, w obdartych łachmanach Marysia, stała przeczłbia u drzwi lichego domku. — W piersiach jej brakło głosu do wzywania litości, dwie łzy do połowy zmarzłe toczyły się jej po twarzy — te łzy mróż wycisnął, holeśc na jej sercu nie już działać nie mogła, bo to serce było przesiękle, rozdarła cierpieniami. — Piersi jej śliczne niegdyś, piersi były obnażone, płachta podarta okrywała je do połowy, ręce miała stulone i przymarzłe prawie jedna do drugiej, nogi bosa i czarne, na jednej z nich trzewik, na drugiej resztki welnianej pończochy. — Jęczała tylko a w tym jęku nie było słowa, lecz była proźba — ten jęk obijał się o serce jak konającego modlitwa do Boga — ludzie chodzili, ludzie jęki słyszeli —

a jednak nikt jej nie puścił do domu — stała biedna podedrzwiami — a mróż był tak okropny. Nieśmiało, powoli, otworzyła drzwiczki domku i jęknęła — z izby wyleciał głos. — A czego tam łazisz! i izbę studzisz! do Dobroczynności! zamykaj! zamykajże! — Marysia jęknęła raz jeszcze — stary, czerwony mężczyzna w brudnym szlafroku wyleciał na przeciw niej, chciał łajać — spojrzął na piękną niegdyś twarz i stanął — ona jęczała — on słuchał — drzwi były odemknięte. — No! no! ogrzeź się — chodź! a drzwi zamknij! izbę studzisz! drwa kosztują drogo — co ty za jedna? — Marysia weszła, stanęła u drzwi i tupala nóżkami, łzy jej płynęły, czerwony jegomość stał i patrzył — potem złożył pióro za ucho i kręcąc głową, zawołał: — Co ty za jedna? — Prócz jęku nie było odpowiedzi — a jegomość nie rozumiał jęków i mruczał pod nosem — Musiała być ładna! — Był to ostatni może tryumf biednej Marysi — pozwolono jej się ogrzać, nie że była biedna, ale że była ładna — Ona siedziała przy piecu, czerwony jegomość zam-

knął drzwi na klucz — milczała i oddychała ciężko. Ciepło przejmowało jej ciało od dwóch dni skościate, język jej odmarzł, prosiła jeść. Czerwony jegomość, dał jej wódki i chleba z solą, ciągle mruczając pod nosem — Musiała być ładna. — Chodził z piórem za uchem, pisał pozwy, ruszał ramionami i dziwował się, że ona była ładna, a taka biedna! — Było się czemu dziwować! — Marysia niezawsze była tak biedna, i tego domyślał się czerwony jegomość, ale o tém nie mówił.

iv.

Na miłość Boga! jeden grosz Panie! — Jeden grosz biednej ubogiej! — Jeden grosz ślepemu kaléce. — Zlitujcie się nademną! — Tak odzywali się żebracy i żebraczki pod kościołem w niedzielę, siedząc rzędem w kruchcie i wyciągając ręce ku przechodniom. — Między ubogiemi siedziała jedna młoda, blada, okryta łachmanami i ona wyciągniętą miała rękę, ale nie mówiła ani słowa, tylko drżała od zimna i z boleści. Kilku przechodniów dawało jałmużnę, lecz tłuste baby zawsze ją pochwyliły, na wychudłej dłoni

Marysi, ani grosz niepostał, odpychali ją jeszcze żebracy od siebie, cisnąc się po grosz jałmużny, tak że się ledwie naszczupłym siedzeniu pomieścić, i usiedzieć mogła. Szło dwie osób na mszę — Marysia wlepiła w każdego czarne oczy łzami zczerwienione, wpadłe i nieruchome, lecz nikt nie uważał — ten dawał jałmużnę bliżej siedzącym, ów rzucał ją dla oka trafem, dla pocieszenia się przyjemnym widokiem, bitwy żebraków o grosz; inny mijał ich ruszając ramionami, inny łajał jeszcze. Ku południowi, przy końcu summy, szedł jakiś tłusty jegomość do kościoła — żebraczka spojrzała na niego i boleśnie jęknęła, on obrócił głowę, spojrzał, zdawał się coś przypominać, potem dobył dziesiątkę z kieszeni i rzucił ją na wyciągniętą dłoń żebraczki, oddalając się spiesźnie. — Ona westchnęła i patrzyła długo za nim, a tym czasem obok siedząca stara kwoka porwała z jej ręki dziesiątniczkę i spiesźnie ją schowała pod fartuch. Marysia nie uważała, nie widziała, z oczu jej łzy się toczyły, usta miała skrzywione,

patrzała przed siebie i drżała coraz mocniej. — Tłum ludu wracał z summy, Marysia patrzyła jeszcze, ale ten jegomość wymknął się tak, że go nie widziała, tylko jakiś bogoboyny staruszek, dał jej pięciorkę, polecając jej modlitwom duszę Anieli.

*J. Kraszewski.*

### PRÓŻNIACY PARYZCY.

Mój Pan wysłał mnie z listami na ulicę Sewską. Doszedłszy do kraty Luwru nad wodą, ujrzałam na jednym z piesochodów mostu Królewskiego (Pont Royal) tłum ciekawych, przypatrujących się jakiemuś zjawisku hydraulicznemu. Była to łódź pod wodę halowana, a na którą próżniacy nasi w tém miejscu czekali. Rozśmiałem się na cały głos. Jakiś niski Jegomość, w kamlotowym fraku, z potężnym harcabem, z parasolem pod jedną, a mopsem pod drugą pachą, powiedział mi żem parafjanin, ja mu zaś powiedziałem, że on Paryżanin i głupiec. Idąc dalej, postrzegłem Auwernjaka, ciężkiego jak koń piwowarski, który łapał

muchy przed bramą pałacu, oczekując jakiego złeczenia. Po oddawawszy listy gdzie należało, wróciłem tą samą drogą, i na moście Królewskim spotkałem znowu ze dwadzieścia kobiet, które się doskonale pływającemu przypatrywali mężczyźnie. — Zatrzymałem się przed magazynem, który wziąłem za skład wszystkich pereł Urjańskich i djamentów Golkondy. Półlokeiowe głoski szyldu układanemi były z ogromnych jak pięść brylantów. W framudze zaś, w głębi magazynu, przy mahoniowym stoliku, z czaszką obciążoną djamentowemi kittkami i gwiazdkami, siedziała nieporuszona Magazynjerka. Ujrzawszy te cuda, stanąłem jak wryty, cała moja istność przemieniła się w oko, nie mogłem się napaść widokiem tych idealnych bogactw, a nie postrzegalem, że jeden człowiek, dwóch ludzi, dziesięciu, trzydziestu, pięćdziesięciu ludzi, zatrzymało się po kolei przy mnie, z wyciągniętą szyją, z rozdziawioną gębą, usiłując odkryć w głębi magazynu przedmiot mojej nieporuszonej uwagi. Jeden z nich, mniej od kolegów cier-

pliwy, uderzył mnie nareszcie po ramieniu mówiąc: «Cóż tam u diabła znalazłeś? — Ja nie nie znalazłem, ja się dziwię wszystkiemu, odpowiedziałem. — Patrzajcie go! krzyknął, ten mały hultaj zmarnował nam półgodziny czasu.» i paf! a echo powtórzyło dany mi policzek, zmykam dla uniknienia powtórnego, w biegu uderzywszy nogą o kamień pocałem kulać. Kilku małych Sabaudezyków zaczęło mnie przedrzeźniać, ... palnałem jednego i drugiego, a sam w nogi jak strzała... Sabaudezyki puścili się za mną wrzeszcząc. Złodziej! złodziej! Za Sabaudezykami pobiegło ze dwódnastu próżniaków, za temi oddział inwalidów, skaczących w takt na drewnianych nogach: psy całego cyrkułu zaczęły ujadać, kupeczyki i czeladź rzemieślnicza biegli do drzwi i okien, orszak goniących powiększał się coraz bardziej; dopełniono by nareszcie na mnie kary bez dekretu, gdyby próżniaków moich nie zatrzymała pijana, baba powstająca z rynsztoku. Oni zaczęli się z niej śmiać, ona zaczęła ciaskać na nich błotem: ja zaś

wpadłem do sieni pewnego domu, wołając. Oh głupie miasto! oh głupi ludzie! Lecz czyż to jeden i sam Paryż jest taki?

### IMPROWIZACYA.

W zimie dwie kobiety idąc z pewnym poetą w czasie, gdy śnieg zaczął pruszyć, prosiły go, aby z tej okoliczności wierszjaki improwizował. «Najchętniej rzekł wierszopis, a obracając się do swęj lubęj, te złożył rymy:

Na pierś twą białą, padł śnieżek  
(biały,

I bielszym od nięj się mienił,  
Lecz wkrótce poznał błąd swój,  
(zuchwały,

I z żalu wzię się przemienił.

### SZARADA.

Pierwsze z trzecim wskazując znacz  
liczbę mnogą,  
Drugie z czwartym, sprawają często  
boleść sroga,  
Przez wszystko się ogłasza  
Wzywa lub zaprasza.

## ROZMAITE WIADOMOSCI

W mieście Limerick w Irlandyi taki jest brak palnych materyjalów iż liczni tamtejsi ubodzy wykopują z grobu trunny dla palenia niemi.

W dzień nowego roku było wielkie trzęsienie ziemi w Palestynie, miasto Safed, Tiberias i okolice wszę zostały zupełnie zniszczone. Przeszło 1500 ludzi między temi 500 izraelitów życie straciło. — W 8 dni potém wygrzebano dopięro kilka tysięcy ludzi, którzy byli mocno ranieni i z głodu na pół umarli. Żydzi w Gibraltarze dowiedziawszy się o tém nieszczęściu 15 lutego sklepy pozamykali i solenne nabożeństwo odprawili. Zebraną składkę pieniężną tamże, przesłano przez Malte do Palestyny.

26 lutego wywieziono z St. Gallen w Szwajcaryi zwłoki ś. p. Gustawa IV. byłego króla Szwecyi, do Morawy, z rozkazu J. K. W. Księcia Wazy, dla umieszczenia tychże w grobie w dobrach księcia gdzie już dawniej zmarły wnuć nicboszczyka spoczywa. — Od 25 października 1833 żył w Bogu spoczywając pod imieniem pułkownika Gustawzou w St Gallen zachowując najściślejsze inco-

gnito, rzadko z domu wychodził, zajmował się najwięcej literaturą, korespondencją i swemi pamiętnikami. W październiku 1835 ukazały się początki choroby; lecz wzbraniał się użycia rady lekarskiej. Od grudnia nie opuszczał już swego pokoju. Pismiennie tylko komunikował się z lekarzem którego odwiedzin przyjąć nie chciał. 7 lutego o 8 z rana nagle umarł tknięty apopleksją. Dwaj lekarze robiący sekcją oświadczyli iż gdyby był środków zaradczych używał byłby jeszcze mógł kilka lat pożyć. Ciało zabalsamowano, w ołowianą trunnę włożono, i takową w kościele S. Magnusa złożono, skąd ją pełnomocnik księcia Wazy odebrał. Zadziwiającym jest iż zamek do którego zwłoki zawieziono, w 30to letniej wojnie przez jednego z jego Antenatów Wielkiego króla i rycerza Gustawa Adolfa dwa razy był zdobyty.

*Morning-Chronicle* mniema z dobrego źródła mieć wiadomość, że król Ludwik Filip ma zamiar posłać okręt wojenny do ś. Heleny, dla przywiezienia do Francyi zwłok Napoleona, i że rząd angielski

miał dać już na to swoje zezwolenie. Rozpoczęte niedawno układy w tym względzie z wielką popięraną gorliwością, a rząd angielski, na wezwanie o to z największą zezwolił chęcią.

W Przybramie w Czechach, odkryto żyły srebra, zatrudniające około 1000 górników; górnictwo i w innych miejscach Czech wydawnym się okazuje. W roku zeszłym kopalnie złota srebra w Węgrzech, Ziemi Siedmiogrodzkiej, Banacie i na Bukowinie dostarczyły 3,367 grzywien złota, a 12473 srebra.

W Sztutgardzie przebywa teraz tak zwany poeta natury, drukarz w oficynie barona Cotty, imieniem Mikołaj Müller, a którego drobne poezye były już w pismach publicznych umieszczane. w krótkce w księgarni J. G. Cottz wyjdzie całkowitzy zbiór jego poezyj, pod tytułem: *Poezye autodykatoryczne, napisane, sadzone, i drukowane przez Mikołaję Müller.* Zapewne

jedna książka tego rodzaju w literaturze niemieckiej, a może i w ogólnej europejskiej. Poeta ten był pierwotnie drukarzem, gdy go z czasem na układcza (zacera) posunięto, żądał w krótkce by go na dawne miejsce powrócono, mówiąc że jako układcza obowiązany jest cudzym zajmować się rękopismem, jako drukarz zaś działając li mechanicznie, ma więcćj wolnego czasu własnym się myślom oddawać. Widzimy w nim prostego człowieka, lecz właśnie szczęśliwego w tój swojej prostocie, który utworzył sobie filozofię życia; daleko lepszą od filozofii tych ludzi, co wszelkimi sposobami pnać się do góry, nie chcą na tēm, czym ich los obdarzył, poprzestać.

Blisko Paryża, banda łotrów szczególniej kradnie z kościołów okna gotyckie i inne osobliwości na sprzedaż dla miłośników starożytności. Mieszkańcy wioski postanowili sprzedać takowe, aby nie wpadły wręce zbrodniarzy.

---

Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w **PONIEDZIAŁEK**, **ŚRODĘ** i **PIĄTEK** o drugiej po południu. — Zaliczenie kwartalne na 36 Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w handlach Wych Rocha i Szreibera.

---